

**WSPOMNIENIA O BARANOWIE n/WIEPRZEM
DR HELENY SIKORSKIEJ-KARYORY
z lat 1909-1910**

Tekst według rękopisu nr 12.394
przechowywanego w Bibliotece
PAN Zakładu Narodowego
im. Ossolińskich we Wrocławiu

Opracował i wstęp napisał
Jan Henryk Litwinek

Wrocław 1970

WSTĘP

W Bibliotece Polskiej Akademii Nauk we Wrocławiu znajduje się w Dziale Rękopisów pamiętnik dr Heleny Sikorskiej-Karyory, zatytułowany „Wspomnienia mego życia”. Obejmuje on okres od 1873 do 1949 roku, czyli 76 lat życia autorki. W dużym tomie, liczącym 246 kart maszynopisu znajduje się między innymi obszerny rozdział opowiadający o pobycie dr Heleny Sikorskiej-Karyory w Baranowie, gdzie przez dwa lata, 1909-1910, pracowała jako jedna z pierwszych na tym terenie lekarek. Zaangażowana została do pracy przez ówczesnego proboszcza parafii Baranów, księdza Grabowicza.

Kim była doktor Helena Sikorska-Karyory i jakie były jej losy zanim znalazła się w Baranowie?

Urodziła się w Głuchowie, w powiecie grójeckim, 22 maja 1873 roku. Jej ojciec był dyrektorem browaru w tej miejscowości, później przeniósł się wraz z rodziną do Nowego Miasta w woj. warszawskim, gdzie został dyrektorem młyna parowego. Wkrótce jednak przeniósł się do Białegostoku i tam dzierżawił wielki browar.

W roku 1887 rodzina Sikorskich przenieśli się jeszcze raz - do Warszawy, już na stałe. Tutaj Helena Sikorska ukończyła gimnazjum. W latach 1893-1899 odbywała studia medyczne w Genewie. Po ukończeniu studiów powróciła do Warszawy. Krótko pozostawała w kraju, ponieważ władze carskie wymagały zatwierdzenia zdobytego w Genewie dyplomu lekarskiego. W tym celu Helena Sikorska wyjechała na dalsze studia do Moskwy. Po spełnieniu wymaganych warunków i złożeniu odpowiednich egzaminów przyjechała do Warszawy i rozpoczęła praktykę w szpitalu Dzieciątka Jezus. W czasie praktyki wyjeżdżała jeszcze kilka razy do Rosji (do Kazania i na Krym).

Praktyka, liczne wyjazdy i podróże zajęły jej kilkanaście lat, po upływie których stanęła przed wyborem stałego miejsca pracy. Wybrała Baranów, który bardzo jej przypadł do serca i który bardzo ciepło i z wielką sympatią wspomina w swoim pamiętniku.

Mieszkała i pracowała w Baranowie dwa lata. Minęło od tego czasu lat 60; Baranów przeżył dwie wojny, poważnie zmienił się jego wygląd i trudno dziś ustalić, w którym domu i przy której ulicy mieścił się jej skromny gabinet lekarski, zresztą, jak na owe czasy dość nowoczesny, w którym badała i leczyła dziesiątki i setki chorych ludzi, pozbawionych przed jej przyjazdem jakiegokolwiek pomocy lekarskiej. Przyjmowała pacjentów nie tylko z Baranowa, ale również z najdalszych okolic. Bardzo często, niezależnie od pory dnia, roku i pogody musiała wyjeżdżać konnym wozem dziesiątki kilometrów, co sprawiło, że sama zachorowała ciężko na ostry reumatyzm i zmuszona została przez tę chorobę do opuszczenia Baranowa, choć, jak pisze w pamiętniku pragnęła zostać tu na zawsze.

Podczas licznych wyjazdów zdarzały się jej różne nieprzewidziane, a nawet niebezpieczne przygody, jak np. tajemnicza wizyta trzech kamratów bandyty Józefa Grzechnika /prawdopodobnie z Sobieszyna/, którzy zawieźli ją do nieznannej nawet policji kryjówki swojego szefa, którego żona, czy też kochanka potrzebowała pomocy lekarskiej.

Ofiarna i pełna poświęcenia praca doktor Heleny Sikorskiej i wielka troska, jaką otaczała zwłaszcza ludzi biednych, których nie było stać na wyjazdy do lecznic i szpitali, zjednały jej gorącą sympatię i przywiązanie ludzi z Baranowa i okolic.

Pod koniec pobytu w Baranowie opiekowała się kolonią dla dzieci w Żyrzynie, dokąd dojeżdżała konno z Baranowa. Tam poznała Jana Karyorę, którego w niedługim czasie poślubiła.

Również i Jan Karyory zdobył sobie uznanie mieszkańców Baranowa, mimo że jego pobyt tutaj był bardzo krótki. Jako prawnik z wykształcenia udzielał porad prawnych chłopom. Prowadził też żywą akcję uświadamiającą z zakresu weterynarii i pomagał ratować chore zwierzęta domowe. Jego zasługą jest zorganizowanie pierwszej w historii Baranowa ochotniczej straży pożarnej, którą założył prawdopodobnie przy pewnej pomocy ówczesnego dziedzica Seroczyńskiego.

Po wyjeździe z Baranowa dr Helena Sikorska-Karyory spędziła trzy lata w Warszawie, a następnie przeżyła pierwszą wojnę światową pracując dla potrzeb wojska w szpitalu w Górze Kalwarii. W okresie między pierwszą a drugą wojną pracowała między innymi w Kasie Chorych i właściwie na tym kończą się jej wspomnienia. Pisała je w 1949 roku, mając lat 76. Trudno się więc dziwić, że nie wszystkie szczegóły ze swojego pracowitego życia dokładnie opisała i dlatego o jej losie w czasie drugiej wojny światowej i w latach powojennych niewiele można się dowiedzieć.

Helena Sikorska-Karyory to piękna postać kobiety-lekarka, której pracę w Baranowie, choć było to tak dawno, warto przypomnieć dziś, kiedy w Baranowie istnieje ośrodek zdrowia, izba porodowa i apteka, kiedy ludzie zawsze mogą znaleźć poradę i pomoc lekarza. Należy to przypomnieć i z tego powodu, że przed 60-ciu laty nie było w Baranowie w ogóle lekarza, a leczeniem chorych zajmowały się znachorki, o których Helena Sikorska wspomina, że leczyły laniem roztopionego wosku przez brzożową miotłę. Dwuletnia działalność dr Heleny Sikorskiej z pewnością przyczyniła się do podniesienia świadomości wśród tutejszej ludności i przekonania jej o nieskuteczności takich „metod leczenia”.

Niech więc przypomną jedną z pierwszych lekarek w Baranowie jej własne wspomnienia przechowywane obecnie we Wrocławiu.

mgr Jan Henryk Litwinek
- pracownik Biblioteki Polskiej
Akademii Nauk we Wrocławiu.

Kazimierz Mili mówił mi często: „Pani to w moim pojęciu prawdziwy gabinetowy uczony. Nie wyobrażam sobie pani inaczej, jak w estetycznym pokoju, otoczonym książkami i kwiatami... Zawsze siedzącą w zaciszu, stworzonym dla spokojnej pracy i dumania...”

Może miał rację...

Nieraz myślałam sobie, że powinnabym była spędzić życie w laboratorium, w pracy czysto naukowej. Do tego może byłam stworzona..|

Ale we mnie było coś, co mnie rwało wciąż naprzód i naprzód, co mi nie dawało spokoju, nie dawało nigdzie spocząć. Na przekór kontemplacyjnemu usposobieniu, mimo zrywów poetycznych nad gwiazdy, szłam ku praktycznemu, czynnemu życiu, przełamując w sobie bezwład, wstręty i niechęci, wiele niszcząc i przerabiając w duszy, aby wykuć hart i energię. Chciałam się wziąć za bary z prawdziwym życiem.

Prawdziwe życie? W czym ono było?... Och, myślę dziś, że we wszystkim... Żył się go dzień po dniu, tu, tuż koło siebie, a szukało gdzieś daleko... w czymś nadzwyczajnym... nie dostępnym...

Wyjechałam na prowincję...

Nie przyszło to od razu. Trzeba było czytać ogłoszenia, dopytywać się, zachodzić na oddziały, szukać. Zapraszano mnie w różne strony. Nagle zdecydowałam się. Podobało mi się ogłoszenie w „Gazecie Lekarskiej”: „Baranów nad Wieprzem, pod Puławami”. Napisałam, pytając o szczegóły. Pojechałam potem obejrzeć. Okolica była bardzo ładna, na czym mi bardzo zależało. Współcześnie ksiądz proboszcz Grabowicz w odpowiedzi na mój list, przyjechał do Warszawy i był u moich rodziców. On to starał się o lekarza. Szybko umówiliśmy się wymówiłam sobie tylko dwa miesiące. Chciałam dla uzupełnienia mojej nauki jechać do Wiednia na kursa wakacyjne dla lekarzy. W szpitalu miałam do czynienia z chorobami wewnętrznymi, chodziło mi o inne specjalności.

W Wiedniu spotkałam znowu koleżankę Emilię Piotrowską. Zamieszkiwaliśmy razem z Marianem /.../ przy szkole kucharek, blisko szpitala Allgemeine Krankenhaus, gdzie się odbywały nasze kursa.

.....

Dwa miesiące upłynęły jak miły sen... zostawiając nam w sercu ukochanie tego pogodnego miasta, w którym pomniki stawiają autorowi walca ... a życie wydaje się tańcem i śpiewem...

W ten sposób, nafaszerowana wiadomościami lekarskimi, zabrawszy moje doktorskie przyrządy i jak najprostsze meble, składane przeważnie, pojechałam objąć umówioną posadę. Chciałam być koniecznie lekarzem biednych, ażeby ile możliwości ulżyć ich doli ażeby im pomagać, łagodzić ich cierpienia, leczyć i opiekować się nimi.

Proboszcz i aptekarz wynajęli mi w końcu ulicy idącej od rynku, dwa pokoje z dużą sienią, obszernym gankiem i kuchnią, na szczęście dla mnie z ogródkiem. Pierwszy duży pokój obróciłam na gabinet, sieni i ganek służyły mi za poczekalnię. Nie można było inaczej,

nie było większych mieszkań w Miasteczku. Mały pokoik przy kuchni był moim prywatnym. Przyjechałam ze służącą. Ojciec mnie odwiózł.

Od pierwszej chwili przyjazdu, w palcie, wśród rozstawionych pakunków musiałam przyjąć kilku najpilniejszych chorych. Przez kilka dni dom mój był oblężony przez ciekawych. Na szczęście przywiozłam witraże, piękne, barwne irysy, którymi zalepiłam szyby okien od ulicy, stwarzając "chez soi", a ludzi napełniając podziwem i zachwytem.

Również wielki podziw i ciekawość sprawił mój stół do analiz, na którym liczne butelki z odczynnikami, mikroskop, epruwetki, lampka spirytusowa, były tu zupełnie nie znanymi przedmiotami. Stół ginekologiczny, stół z przyrządami chirurgicznymi - tyle rzeczy było u mnie do podziwiania, prócz witraży i mnie samej.

Ja byłam największą sensacją. Kobieta doktor. To się moim pacjentom w głowie pomieścić nie mogło. A przecież ksiądz z ambony zapowiadał wyraźnie, że przyjedzie kobieta, ale prawdziwy lekarz. Kobieta? Nie, to znachorka zapewne, "znająca", a więc tym bardziej pożądana. Żydzi zapatrywali się na mnie zupełnie inaczej niż chrześcijanie. Dla chrześcijan ja byłam czymś cudownym, nadzwyczajnym, niesamowitym, a więc działałam na ich fantazję, na ich potrzebę wiary w cuda, na ich uwielbienie rzeczy nadprzyrodzonych.

Żydzi patrzyli na mnie krytycznie, nie ufali mi, otoczyli mnie kontrolą.

Wyszłam ze wszystkiego zwycięsko dzięki zbiegowi okoliczności, specjalnym wypadkom, dzięki mojemu bajecznemu szczęściu, i dzięki ich ciemnocie. Piętnaście lat nie było doktora w miasteczku. Trzeba było pacjentów urabiać, cywilizować, uczyć pierwszych zasad higieny i leczenia się. Byli zupełnie surowym materiałem. Ale co za wdzięczne zadanie.

Pierwszym moim pacjentem było małe, umierające dziecko. Po zbadaniu zapisałam lekarstwo i dałam matce parę wskazówek postępowania, ale gdy wyszła, powiedziałam do otoczenia składającego się z kilku ciekawych. "Tu nie ma już nic do zrobienia, dziecko nie przetrzyma nocy..." Ta uwaga była pierwszym kamieniem mojej sławy. Dziecko umarło w nocy i wszyscy powtarzali: "Pani powiedziała, że dziecko nie przetrzyma nocy, i nie przetrzymało".

Nazajutrz byłam wezwana do pani Spiro, Żydówki, właścicielki największego sklepu towarów łokciowych w Baranowie. Po zbadaniu, przepisałam jej lekarstwo i wytłumaczyłam sposób użycia i zachowania się. Dowiedziałam się potem, że to mi zrobiło duży rozgłos, bo zapisałam lekarstwa, które "sam główny lekarz w Warszawie" jej przepisał przedtem. "Sie weist, sie weist" powtarzali Żydzi /ona wie, ona wie/.

Wszystko, co mnie dotyczyło, rozchodziło się momentalnie po miasteczku i okolicy.

Miasteczko było nie duże i jak wszystkie nasze małe miasteczka posiadało rynek i cztery przecinające go ulice. Na rynku stał stary, ładny kościół, a dookoła znajdował się szereg małych i maleńkich sklepików żydowskich i apteka. Okrainy miasteczka, tak zwane "opłotki", zamieszkiwała ludność katolicka. Okolica była piękna, gdyż miasteczko leżało na wysokim brzegu rzeki Wieprza, który o parę mil dalej wpadał do Wisły. Z tego brzegu otwierał się szeroki widok, na rozległe łąki nadbrzeżne, na pola uprawne, kończące się na horyzoncie olbrzymimi lasami Lenda. Grunt tu był piaszczysty, a ludność biedna. Po drugiej

stronie rzeki rozciągała się kraina bogata. Specjalność wiosek stanowiła tam uprawa cebuli, która wymagała dobrej ziemi, a bardzo sute i daleko sięgające łąki służyły za podstawę hodowli koni.

Moją wielką przyjemność stanowiły liczne rozjazdy; byłam prawie ciągle w drodze i lubiłam bardzo, gdy przyjeżdżano po mnie zza rzeki, gdyż konie były zawsze piękne i rące, a wozy wygodniejsze. Ale na wiosnę rzeka wzbierała i stawała się przeszkodą trudną do przebycia, zrywała też ciągle groble. Czekano na mnie z końmi po drugiej stronie rzeki i musiałam ją często przebywać małą łódką, nieraz między płynącymi krami, a czasami w nocy. Zdarzyło się raz, że zaledwie przewoźnik przybił do brzegu, olbrzymi kawał kry roztrzaskał łódkę, ledwo zdążyliśmy wyskoczyć.

Rzeka była głęboka i rwąca i prom wiecznie był zrywany,

Miałam od początku pracę ogromną i ciężko mi jej było poddać z powodu druzgocącego zmęczenia. Powoli jednak przywykłam do tego, że musiałam być zawsze czynną, zawsze gotową do wyjazdu lub przyjmowania chorych, od wczesnego rana do późnej nocy, często o głodzie, bez chwili odpoczynku. Liczne wozy, skromne bryczki, eleganckie bryczuszki z dworów, a nawet powozy, czekały zawsze przed moim domem, na ukończenie przyjmowania chorych przyjezdnych.

Praktyka wśród Żydów było stosunkowo wdzięczniejsza. Żydzi byli na ogół inteligentni, można im było wiele rzeczy wytłumaczyć. Krytykowali lekarza, ale gdy raz zdobyło się ich zaufanie, wypełniali ściśle przepisy lekarskie i byli niezmiernie wdzięczni. Miałam wielkiego przyjaciela w osobie Moszka Nyrenszteina. Miał on astmę i zwykle o 4-jej rano musiał być na powietrzu, bo w izbie się dusił. On mi powtarzał: "Pani pracuje tutaj najciężej z nas wszystkich. My odpoczywamy w nocy, a pani o każdej porze nocy i dnia wyjeżdża do chorych". Gdy miałam jakiegoś pacjenta wśród Żydów opornego lub głupiego zwracałam się do Nyrenszteina i on ich przekonywał. Miałam kiedyś chorą na głęboki zastrzał, który tak zapuściła, że groziło jej obcięcie palca lub nawet ręki, a o szpitalu nawet słyszeć nie chciała. Jedno słowo Moszka wystarczyło i nim wróciłam do domu, przejechała koło mnie furmanka, wioząca ją na operację. I ręka szczęśliwie się jej zgoiła.

Koło mojej działalności obejmowało 3 do 4-ech mil, tj. odległość Baranowa od Puław, Kocka, Ryk, Dęblina, gdzie byli najbliżsi lekarze.

W kilka dni po przyjeździe wezwano mnie do żony dozorczy łaźni żydowskiej /mykwy/, starej kobiety, która dostała ciężkiej kolki żółciowej. Zastrzyknęłam jej morfinę, mówiąc: "Za dziesięć minut bóle się uspokoją i chora uśnie". Miałam zwyczaj zostawać przy pacjentach pewien czas po zastrzyku morfiny, dla upewnienia się, że chory dobrze ją znosi. Słowa moje się spełniły i słyszałam jak mąż powiedział do otoczenia: "Es ist a grojsses doktor". /To jest wielki doktor/.

.....

Pewnego razu byłam wezwana do 10-cioletniej dziewczynki, która miała ostry reumatyzm stawowy z dużą gorączką i bardzo silnymi bólami. Zapisałam jej salicyl, lekarstwo specyficzne dla takich wypadków i byłam pewna, że choroba wkrótce przejdzie.

Wychodząc poleciłam im lekarstwo powtórzyć. Po trzech dniach przyszedł do mnie jej ojciec, który był wtedy nieobecny. Spytałam czy skończyła już lekarstwo i powiedziałam, że nie potrzebuję jej widzieć tylko trzeba je powtórzyć. Wtedy przyznał się, że lekarstwa wcale nie brali i prosił bym koniecznie przysła. Wszedłszy do pokoju chorej zobaczyłam około 30 mężczyzn, Żydów, stojących w głębi izby. Nie zwracając na nich uwagi, podeszłam do chorej i zbadałam ją wobec ogólnego milczenia. Znalazłam serce już zajęte, co bywa fatalną komplikacją ostrego reumatyzmu u dzieci, a którego można uniknąć dając wcześniej preparaty salicylowe. Byłam tym mocno rozgniewana i powtórzyłam, że to jest reumatyzm i że bardzo źle zrobili nie biorąc lekarstwa, bo choroba zrobiła postępy i dziecko jest już chore na serce.

Wtedy jeden z tych Żydów wystąpił z gromady i powiedział: "Takiej choroby u dzieci nie ma". A więc to był sąd nade mną. Byłam zirytowana stanem chorej, a wtedy jestem niezmiernie spokojna i wobec tego areopagu miałam kompletny wykład o reumatyzmie u dorosłych i u starców, chronicznym i o jego formie ostrej, spotykanej właśnie u dzieci i młodzieży. Zrozumieli mnie i wzięli lekarstwo. Dziewczynka wyzdrowiała, ale pozostała jej na całe życie wada serca.

Praktyka u chrześcijan, jak już wspomniałam, była zupełnie inna, zawsze byłam dla nich czymś innym, niż zwykłym lekarzem.

Zawsze widzieli we mnie coś w rodzaju kobiety znającej, klęski wiosek i małych miasteczek. Było ich sporo w okolicy, przeważnie bardzo głupich /pознаłam wśród nich jedną mądrą/, nie mających najmniejszego pojęcia o leczeniu, działających przez sugestię lub sposobami fantastycznymi. Na przykład aby uratować chorą, trzeba było lać wosk roztopiony, gorący, przez brzożową miotłę. W razie konwulsji należało na twarz chorego położyć lustro lub obraz św. Walentego. Jak i klasyczny przykład! zabić o północy czarną kurę, bez jednej białej plamki i ugotować z niej rosół itd. Ten system leczenia bardzo się chorym podobał. Trzeba sobie uprzytomnić, że było to 40 lat temu i na głębokiej prowincji.

.....

Kiedyś o północy wezwano mnie do umierającej chorej. Zastałam w łóżku kobietę zupełnie nieprzytomną, ale puls miała niezły. Na moje pytania odpowiedziano mi, że chora cierpiała na bardzo silne bóle głowy. Zrozumiałam, że miała ona bardzo ciężki rodzaj migreny. Wlałam jej do ust rozpuszczony proszek antypiryny, a wiedząc już, że ludzie na wsi nie mający tyle lat do czynienia z doktorami i lekarstwami i silniejszym działaniem, nieraz bardzo silnie na nie reagują i bojąc się omdlenia, a nie mając przy sobie żadnego antidotum, kazałam jej dać kieliszek wódki. Po 20 minutach chora, umierająca w pojęciu otoczenia, odzyskała przytomność, usiadła na łóżku i zażądała jeść. /.../ W jednej chwili wiadomość o tym „cudzie” rozeszła się po okolicy, robiąc mi szaloną sławę.

Oprócz Moszka Nyrenszteina miałam jeszcze innego wielkiego przyjaciela, pana Kilarckiego. Dnia jednego zajechał przed mój dom wielki, starożytny powóz, zaprzężony w cztery konie i wysiadł z niego staruszek 90-cioletni. Powiedział mi na wstępie, że nie ma zupełnie zaufania do lekarzy, ale kobieta-lekarz to zupełnie coś innego. Dowiedziałam się później, że owszem, leczyl się często to jest ściślej mówiąc zasięgał porady lekarskiej, ale

zapisanych lekarstw nigdy nie zażywał, tylko oddawał je na wieś. Zewnętrznie i owszem, smarował się chętnie i nie przebieając w środkach. Doprowadził się do tego, iż skóra go swędziła niemożliwie, będąc w stanie zapalnym i doprowadzała go do rozpacz. Dał się jednak namówić na odrzucenie wszystkich lekarstw i na kąpiele łagodzące. Posyłał też nieraz potem po mnie, co było dla mnie dość uciążliwe, bo mieszkał o 4 mile, a wspaniała landara trzęsła nieznośnie. Chwalił mnie wszystkim i wszystkim polecał. Był to ogromny dziwak. Trzymał się prosto, po wojskowemu, jako dawny oficer i w ogóle był zdrow, tymczasem ku mojemu zdziwieniu, rozeszła się pogłoska, że pan Kilarski umarł. A choć „staremu umrzeć w sam raz dla niego”, stan jego zdrowia nie dawał powodu do śmierci. "Skąd o tym wiecie?" - pytałam pacjentów. „A wieźli trumnę dla pana Kilarskiego”. To było prawdą, wieźli jego trumnę, ale ani myślał umierać. Po prostu, aby się przyzwyczaić do nieuniknionego losu, sypiał w trumnie. Wezwano mnie wkrótce do niego i to swoje oryginalne łożo sam mi pokazywał, bardzo zadowolony ze swego pomysłu. No, sądzę, że chyba nie dożył lat 130-tu i zapewne w swojej trumnie już na wieki spoczywa.

W tej samej wiosce mieszkał gospodarz Barszcz. Jego biedna żona miała zapalenia wątroby i co kilka miesięcy jeździła do szpitala na wypuszczenie plus-minus 17 litrów wody z jamy brzusznej. Te wyjazdy były dla niej bardzo przykre, z wielkim też zachwytem oboje Barszczowie, za radą pana Kilarskiego, zaprosili mnie na tę operację do siebie. I ustaliło się, że co kilka miesięcy Barszcz przyjeżdżał po mnie. Był to człowiek już kulturalniejszy, bo zetknięcie ze szpitalem nauczyło go oceniać lekarzy i rozumieć doniosłość leczenia. Oboje stali się oddanymi mnie przyjaciółmi i pomagali mi w urabianiu chorych, a wiadomo, że nic tak na ludzi nie działa jak wiadomość o czymś wyleczeniu.

Przyjechał kiedyś do mnie jakiś chory na wozie, grubo wysłanym słomą, wnieśli go czterej koledzy. Od progu zapytał: "Czy tu się leczył Kacper Kamala?". "Tutaj", odpowiedziałam. "Bo jego pani wyleczyła". /Miał ciężkie zapalenie nerek, i włączył się po szpitalach, brał lekarstwa, ale nie wypełniał diety. Ja mu jakoś trafiłam do przekonania i słuchał rad moich i wyzdrowiał., Chory ten miał ischias i krzyczał wniebogłosy przy każdym ruchu. Zastrzyknęłam mu morfinę i wyszedł na własnych nogach ode mnie. /Znowu powód do rozgłosu/. Przyjechał ze wsi o 5 mil oddalanej.

W ten sposób, za pomocą środków zupełnie prostych, lecz logicznie zastosowanych, stałam się lekarzem "wziętym" w miasteczku i okolicy. Lubiano mnie, szanowano i słuchano bez zastrzeżeń. Mówiono nawet, że przynoszę szczęście i wystarczy, bym przyszła i popatrzyła na chorego, aby chory wyzdrowiał. Miałam co do tego zabawny przypadek. Młoda dziewczyna miała wrzód w gardle, cierpiała bardzo, dusiła się. Gdy weszłam do izby i oglądałam gardło wrzód pękł, a otoczenie złożone z kilkunastu osób, zawołało z zachwytem. „A widzi pani, wystarczyło, żeby pani doktor przyszła i spojrzęła, by uleczyć chorą”.

Dwory okoliczne przyjęły mnie bardzo życzliwie, tym bardziej, że szczegółnym zbiegiem okoliczności ich właściciele byli mi pośrednio znajomi. Matka dziedzica w Łukawce była niegdyś nauczycielką mojego ojca, pani Meissner z Podlódowa była uczennicą naszej pensji, pan Janicki z Ułęża był krewnym wuja Jankowskiego; w stacji doświadczalnej

w Sobieszynie dyrektor Leśniewski i jego pomocnik pan Różycki byli dobrymi znajomymi Stefana Jankowskiego. Na Brzozowej, w niższej szkole rolniczej, dyrektor pan Domosławski prosił mnie o wykład higieny /jednorazowy, dwugodzinny/ dla swoich uczniów i o opiekę lekarską nad nimi. W Żyrzynie jeździłam na czworaki do majątku pana Wessla, gdzie jego żona, hrabianka Rostworowska, z niezmierną dobrocią i taktem opiekowała się moimi chorymi i zawsze mi do nich towarzyszyła, bardzo przez wszystkich lubiana. Byłam też parę razy w Kośminie, majątku malarza sławnego Kossaka i miałam możliwość widzieć ściany hallu i piece, całe w obrazach, malowane ściennie przez jego córkę.

Koledzy lekarze byli dla mnie uprzejmi i życzliwi. Szczególnie dużo zawdzięczam doktorowi Horodyskiemu z Puław, który był naszym najszybszym gościem i konsultantem. Doktor Ciągliński z Kocka był parę razy ze mną na konsylium. Doktor Woliński z Puław, lekarz powiatowy, szarmancki w obejściu, miał mi za złe, że psuję lekarzom okolicznym praktykę za małe biorąc honoraria. Jeden doktor Kowalski z Ryk był uprzedzony, nie do mnie specjalnie, ale do pracy lekarskiej kobiet w ogóle. Miałam też raz przyjemne spotkanie z doktorem Sochackim z Dębina; spędziliśmy noc przy ciężko chorej pacjentce. Po szczęśliwie odbytej operacji spożyliśmy o 3-ej nad ranem kolację, przy czym doktor Sochacki opowiadał mi o swoich wrażeniach z pracy, twierdząc, że zawód lekarza na prowincji jest cudnym, porywającym zajęciem, obfitującym w wiele ciekawych zdarzeń i wdzięcznym, dzięki życzliwości pacjentów. Pisał pamiętnik i wspominał że w nim opisze spotkanie ze mną, gdyż po raz pierwszy, mimo swoich 60-ciu lat, spotkał się przy pracy z kobietą lekarzem.

Na zakończenie mojej praktyki w Baranowie opowiem jeszcze jedno zdarzenie. Było już dobrze po północy, gdy zatrzymały się przed moim domem sanki, zaprzężone w dwa śliczne konie. Wyszli z nich trzej wspaniali mężczyźni, piękni, silni i porządnie ubrani. Wezwali mnie do chorej kobiety. Byłam lekarzem, nie mogłam odmówić. Dojechałam z nimi. Noc była piękna i bardzo jasna. Wszystko dokoła błyszczało od milionów diamentów śnieżnych, mieniących się w blaskach księżyca... Miliony gwiazd lśniły w głębinach ciemno granatowego nieba... Powietrze było mroźne i orzeźwiające... Przemknęliśmy przez lasy i pola, ciągnieni przez konie dobrze utrzymane i gorące. Jeden z trzech młodych ludzi siedział na koźle, dwaj inni stali na stopniach sanek, o obydwu stronach siedzenia. Jechaliśmy w zupełnym milczeniu. Była to jazda szalona i feeryczna, ale jakże dziwna. Nie jechaliśmy drogą prostą, ale krążyliśmy przez lasy i góry, jadąc naprzód i wracając kilkakrotnie. Wreszcie dojechaliśmy nad głęboki parów, w który zjechaliśmy pędem, aż do płynącego na dnie strumienia i wznieśliśmy się w górę, gdzie nad przepaścią stała niewielka chata. Zastałam w niej kobietę młodą i śliczną, która miała wrzód na piersi i cierpiała bardzo. Zrobiłam cięcie, zostawiłam jej bańkę Biera dla wyciągania ropy i wróciłam do domu w ten sam dziwny sposób, jak pojechałam, cała przejęta poezją tej tajemniczej wyprawy. Otrzymałam za wizytę złotą monetę, rzecz tak rzadką w mojej praktyce.

Gdy młodzi ludzie odeszli spytano mnie czy wiem u kogo byłam? Odpowiedziałam, że nie mam pojęcia. „Była pani u Józefa Grzechnika”.

- „U Józefa Grzechnika? Tego sławnego bandyty?”

- „Tak.”

Józef Grzechnik był to bandyta, poszukiwany od dawna przez policję. Był on niemal bohaterem dla okolicy. Był wszędzie i nigdzie. Wpadał niespodziewanie na wesele, na bal, do karczmy, aby wypić parę kieliszków wódki z przyjaciółmi i znikał bez śladu za pojawieniem się policji.

Policjantów prześladował specjalnie, polował na nich jak na króliki i wielu z nich położył trupem. Kiedyś w czasie mszy w kościółku w Sobieszynie wśród zgromadzonych przed kościołem tłumów, zabił trzech policjantów, nie zraniwszy nikogo z cywilnych. Gdy proboszcz pytał go w jaki sposób mógł to zrobić, strzelił w drzwi plebanii i w tę samą dziurkę wpakował 8 kul raz po raz.

Szukano go wszędzie, naznaczono cenę na jego głowę, ale nikt nie chciał go zdradzić. Aresztowano Grzechników, gdyż było kilku tego nazwiska w okolicy, bito ich, aby wyznali gdzie on się znajduje, ale ci znosili razy milcząco cierpliwie, ale go nie wydali. Wezwano pułk wojska, który otoczył kordonem całą okolicę, aby go złowić, ale go nie znaleziono. Był przecież tam. Przesiedział w ogrodzie księdza, zajadając spokojnie jabłka. Ale nikomu, ani samemu proboszczowi, nie przyszło na myśl, żeby go tam szukać.

Ale wszystko ma koniec i Józef Grzechnik miał swój koniec także.

Nocował w pewnej wiosce w stodole, gdzie znajdowały się 3 krowy i dwa konie. Ktoś dał znać policji. Otoczyli stodołę dokoła, ale nikt nie miał odwagi wejść do środka. Strzelano przez drzwi i ściany. Oddał 22 strzały, ostatni, aby pozbawić się życia.

Stodoła była podziurawiona jak sito, a konie i krowy zabite. Nie pozwolono rodzinie zabrać ciała. Pozostał martwy, aż do przyjazdu prokuratora. Nie pozwolono też pochować go na cmentarzu.

Oto kilka faktów z początków mojej praktyki w Baranowie. Przebyłam tam dwa lata. Następnie przez 30 lat pracowałam jeszcze jako lekarz. Ale entuzjazm, który włożyłam w te pierwsze lata pracy dla ludzi i sposób tak miły, w jaki oceniono moje dobre chęci zostawił mi niezatarte wspomnienie...

W drugim roku mojego pobytu w Baranowie dostałam list od doktora Stanisława Markiewicza, twórcy letnich kolonii dla dzieci, z prośbą bym się zajęła kolonia dla chłopców znajdującą się w Żyrzynie, o 10 wiorst odległym od Baranowa. W kilka dni potem przyjechali do mnie, z chorym chłopcem, gospodyni kolonii pani Wodzińska i jej główny kierownik pan Jan Karyory. Miałam wtedy atak ostrego reumatyzmu i 40 stopni gorączki, musiałam odprawić wszystkich chorych, ale dziecko z kolonii przyjąć musiałam. Nie pamiętam nawet postaci i twarzy tych państwa, tylko zdawało mi się, że siedzą niezmiernie długo, gdyż parę razy musiałam wychodzić do mego pokoju, aby się choć na chwilę położyć. Pani Wodzińska mówiła mi później, że pan Karyory po wyjściu ode mnie powiedział: „O, z tą kobietą to bym się ożenił”.

Po pewnym czasie pojechałam do Żyrzyna konno, aby się dowiedzieć kiedy będzie ważenie dzieci. Przy wadze bowiem doktor obowiązany jest asystować. Zapytałam o panią Wodzińską, ale służąca powiedziała: "Jakaś pani do pana Karyorego". Gdy wyszedł do mnie

/nie zsiadałem z konia, gdyż było już późno, a trzeba było wracać przez wielki ciemny las Żyrzyński/, ustaliliśmy dzień wagi. Twarzy jego widzieć nawet nie mogłam.

Przyjechałam potem na ważenie. Na wielkiej werandzie zobaczyłam dużą gromadę chłopców i dwóch kierowników. Doznałam dziwnego wrażenia, jakby mi ktoś powiedział: „Oto jeden z nich będzie twoim mężem”. Przy obiedzie dowiedziałam się, że jeden z nich był to pan Jan Karyory, a drugi szwagier jego, pan Jan Jaroszyński, żonaty. A więc ten pierwszy. Przyjrzałam mu się uważnie, był mi dziwnie znajomy. Dość wysoki, szczupły, bardzo ciemny brunet, z sutą czupryną i pięknymi, niezmiernie dobrymi czarnymi oczami pełnymi ognia i zapachu. Czuło się w nim szlachetną, subtelną i bezwzględnie prawą naturę. Zresztą i pan Jaroszyński był też bardzo sympatyczny.

.....

Przeznaczenie /.../ spełnić się musiało... Wspólna troska o dzieci, udręczenie z powodu złośliwej choroby i wspólne ideały, zawiązały między nami nić sympatii, która w cztery miesiące potem, zaprowadziła nas do ołtarza. W dwa tygodnie po nas wyszła za mąż moja służąca.

„Czy to prawda, że pani się obzeniła?” - pytały moje pacjentki. „A czy to prawda, że pani służąca też się obzeniła?”

Nasze śluby wywołały znowu sensację w okolicy. Aż się gniewałam. Gdy każdej pacjentce po kolei powtarzałam, że przyjmuję rano do 12-tej a potem od 5-tej wieczorem, każda zachowuje to jak największą tajemnicę wyłącznie dla siebie. Zaś wiadomość prywatna o naszym ślubie z błyskawiczną szybkością obiegła całą okolicę.

Gdyśmy poślubie, który odbył się w Warszawie, wysiedli na stacji Puławy i wyszukiwaliśmy wśród licznych furmanek, skromnej bryczki mojego gospodarza, zajechał przed stację powóz, zaprzężony w cztery konie i stangret objawił głośno: „Po panią doktor”.

Przyjęcie tak owacyjne przygotowali nam właściciele najbliższego dworu, państwo Seroczyńscy. /.../ Ku naszemu zdziwieniu powóz zamiast do mojego miłego mieszkania zajechał do dworu.

Przyjęto nas wspaniałą kolacją, stół był przybrany białymi kwiatami, usadzono nas na głównych miejscach koło siebie. Prócz nas był ksiądz proboszcz i dwóch obywateli miasteczka: pan Sztekiel i pan Sekita.

Mąż mój w krótkim czasie pozyskał wszystkie serca. „Długo się pani namyślała, ale dobrze wybrała” - mówiły Żydówki. Jako prawnik udzielał porad prawnych włościanom okolicznym i mieszkańcom miasta, którzy się do niego licznie schodzili. Wynalazł też wśród moich książek podręcznik weterynarii i według niego pomagał ludziom ratować dobytek. Śmiałam się, że mąż mój miał więcej klientów, niż ja pacjentów.

Byliśmy jednym słowem oboje przejęci całym sercem przez tych prostych, serdecznych ludzi. Nie tylko nas szanowali, ale kochali.

Mąż założył w Baranowie straż ogniową, gdyż częste pożary były plagą miasteczka. Było to wielkie zdarzenie dla Baranowa, ale zwłaszcza entuzjazmowało dzieci... Gromadami biegły za mężem, krzycząc: "fajer, fajer"... Strasznie też im się podobał hełm złocisty męża

jako naczelnika straży ogniowej... W ogóle wszyscy, ale zwłaszcza dzieci uwielbiały go. Ganek nasz był zawsze obleżony. Najwięcej przesiadywał na nim synek naszej sąsiadki, żony strażnika. Gdy go matka strofowała mówiąc, że zanudzi nas. Odpowiedział: „kiedy ja tak lubię patrzeć na pana Karyorego”.

Bylibyśmy z chęcią zostali tam na zawsze... Ale ja zaczęłam chorować, ciągłe rozjazdy szkodziły mi fatalnie i doktor kazał mi wyjechać.

Ze ściśniętym sercem opuściliśmy tę miłą społeczną placówkę, żegnani ze łzami w oczach przez mieszkańców Baranowa.